

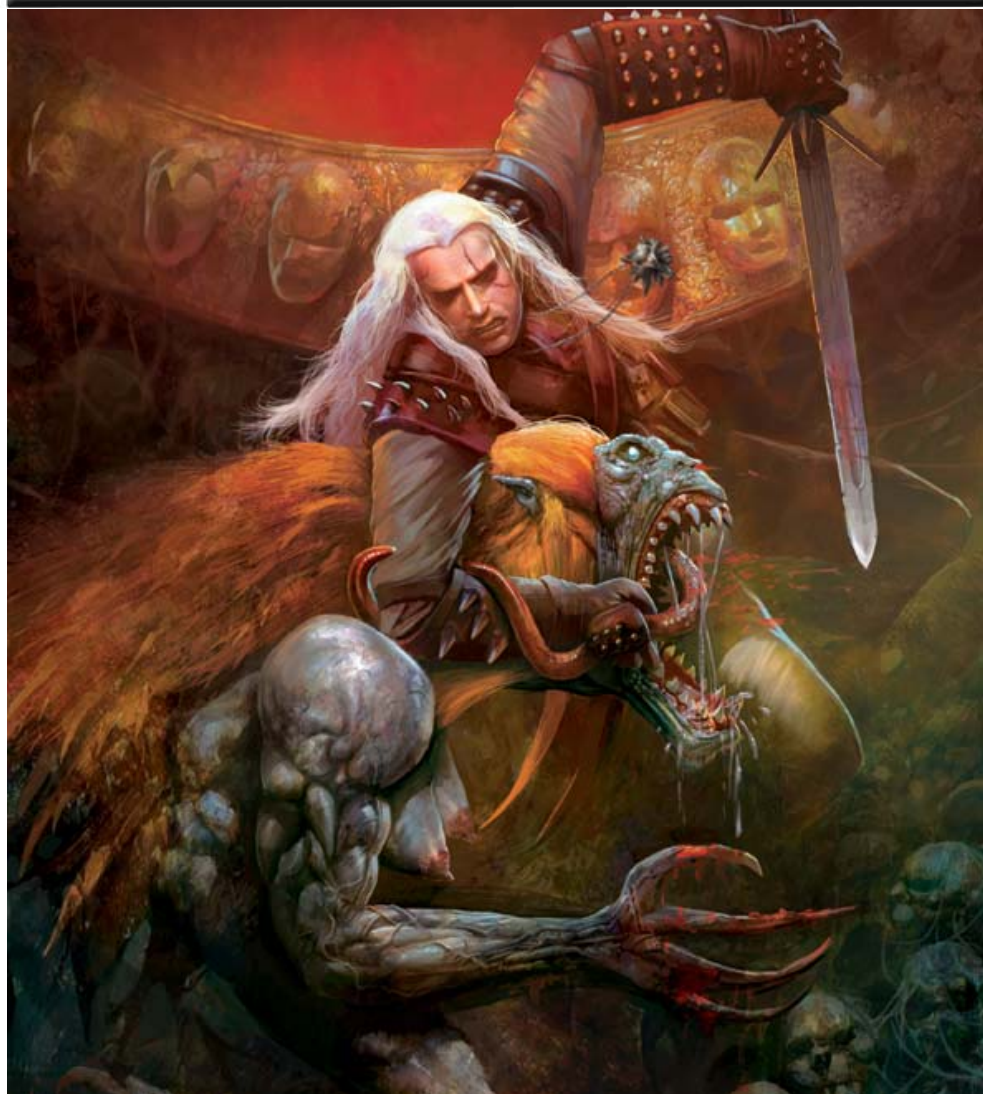
# informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 223  
październik 2007



## NASZE NIEDAWNE „BIAŁE PLAMY”

Druga wojna światowa. Filmy, książki, dyskusje o niej towarzyszyły mi przez całe dzieciństwo, choć urodziłem się dobrych kilkanaście lat po jej zakończeniu. Była ona jednak na tyle żywa we wspomnieniach ludzi dorosłych – i na tyle cynicznie wykorzystywana w PRL-owskiej propagandzie. A raczej: ta jej część, która była dla „władzy ludowej” wygodna. Nie Janek Bytnar (o którym nie mówiono w ogóle!), ale Janek Krasiński (o którym nie mówiono wszystkiego...) miał stać się dla nas wzorem. Armii Krajowej zastąpić miała Armia Ludowa, generała Andersa – generał Świerczewski, Sikorskiego – Wasilewska. Na pakt Ribbentrop-Mołotow, 17 września, Katyń, łagry, NKWD – w ogóle nie było tam miejsca. Akurat wychowałem się w rodzinie jak najdalszej od jakichkolwiek sympatii czy złudzeń odnośnie ZSRR i PZPR – ale przez wiele lat nie wtajemniczano mnie w te „białe plamy” (bym gdzieś czegoś, w tych dusznych czasach przełomu „gomułki” i „gierka”, publicznie nie chlapał). Całe moje dzieciństwo upłynęło jakoś tam pod znakiem „Czterech pancernych” (notabene perfekcyjnie zrealizowanej baśni) oraz domowych opowieści o Powstaniu Warszawskim (bez akcentowania niechlubnej roli Rosjan stojących na Pradze).

Spod tej ochronnej skorupy zacząłem być wypuszczany we wczesnym wieku młodzieńczym, przeżywając zresztą mały (taki prawie „zajdlowski”!) szok co do rzeczywistego obrazu otaczającej nas rzeczywistości. Pomogła mi w tym również sztuka filmowa: jak chociażby „Akcja pod Arsenalem” Jana Łomnickiego (gdzie po raz pierwszy o Szarych Szeregach, Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich wspomniano normalnie, bez żadnego „smrodku dydaktycznego”) czy „Człowiek z marmuru” Andrzeja Wajdy (ukazujący cyniczne zakłamanie PRL-owskiej propagandy). Po Sierpniu to już poleciało (aczkolwiek bezmiar leninowskich i stalinowskich zbrodni poznaliśmy dekadę później, po upadku ZSRR i odzyskaniu pełnej niepodległości).

Pamiętam, jak z – często goszczącym na tych łamach Andrzejem Habasińskim (wtedy świeżo poznanym kolegą z roku) – byliśmy w Warszawie latem '81 r. Nie tylko obejrzelśmy wtedy w kinie Relax „Człowieka z żelaza” – ale 1 Sierpnia pojechaliśmy na Powązki, by zapalić znicze na powstańczych mogiłach. Obok skromnego pomnika powstańców znajdowała się dość spora pusta kwatera, na której ludzie również zapalali znicze. Ktoś nam szepnął, że to tzw. „dolek katyński” – nieoficjalne miejsce, gdzie wtajemniczeni oddawali hołd ofiarom tej, przemilczanej wówczas całkowicie, zbrodni. Przemilczanej, gdyż (niczym u Orwella) Związek Radziecki nigdy wszak nie był najwierniejszym sojusznikiem III Rzeszy...

W połowie października br., notabene przed kolegium redakcyjnym poprzedniego numeru „Informatora”, z tym samym przyjacielem Habasem, poszliśmy w przymorskiej Alfie na „Katyń” Wajdy. My obaj większość filmów Mistrza lubimy. Ich rozmach, ich symbolikę, ich malarskość, ich kontrowersyjność. Najnowszy film Wajdy zrobił więc na nas wrażenie. Nie dorównuje on oczywiście „Weselu” czy „Człowiekowi z marmuru” – ale, przy tak pionierskim i osobistym temacie, obawialiśmy się czegoś o wiele bardziej plakatowego.

Odczytaliśmy go jako film zarówno o Zbrodni Katyńskiej – jak i o Kłamstwie Katyńskim. Nie jest to film stricte wojenny, nie jest to film o obozie jenieckim czy o okupacyjnej codzienności. Dlatego postacie, zwł. kobiet, ukazane są tu w bardzo konkretnych sytuacjach (oczekiwanie na wieści, wiadomość o zbrodni, próba manipulacji przez Niemców, kłamstwo powojenne). To nie „Wielka ucieczka”, „Eroica” czy „Jak być kochaną” chociażby dlatego, iż twórcy tamtych filmów skupiali się na czymś innym! Znów pojawia się Wajdowska symbolika i malarskość (Habas np. wypatrzył cytaty z „Wigilii na Syberii” Malczewskiego: generał kryjący twarz w pustym talerzu), zaś finałowa scena mordu (nader udanie wkomponowana w to właśnie miejsce opowieści) po prostu powala! Największym zgrzytem – kinowym, nie filmowym – była grupka gimnazjalistów zachowujących się podczas seansu po prostu skandalicznie. Nadmiar wolności nie potrafimy docenić, niestety...

# URODZINY

Drodzy grudniowi Jubilaci!  
Życzymy Wam bogatego:  
Świętego Mikołaja\*  
Gwiazdora\*  
Santa Clausa\*  
Papy Noela\*  
Dziadka Mroza\*  
z workiem pełnym cudów!

Redakcja

\* niepotrzebne skreślić

- 3 Bartosz Pietrzak
- 4 Lance Oszko
- 5 Tomasz Świdorski
- 8 Mariusz Czach
- 12 Wojciech Janus
- 13 Piotr Terszel
- 14 Ewa Białołęcka
- Michał Stawski
- 25 Adam Lewandowski
- 30 Agata Słomińska



**NIE  
BĄDŹ  
FRAJEREM!**

**PRZYJEDŹ  
NA  
NORDCON!**

1985/2002

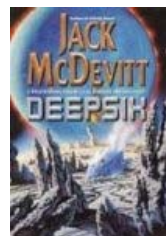
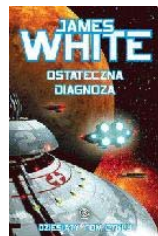
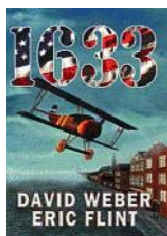
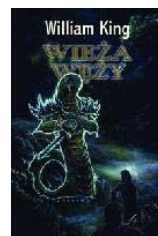


# NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

zakup czerwiec - październik 2007

Abnett Dan  
 Abnett Dan  
 Antologia  
 Antologia  
 Bułyczow Kir  
 Cook Glen  
 De Pierres Marianne  
 Dębski Rafał  
 Dish Thomas M.  
 Eddings David i Leigh  
 Everson John  
 Flint Eric, Drake David  
 Hamilton Peter F.  
 Hoob Robin  
 Kańtoch Anna  
 Kay Guy Gavriel  
 King William  
 Knaak Richard A.  
 Kossakowska Maja Lidia  
 Łukjanienko Siergiej  
 McDewitt Jack  
 Mortka Marcin  
 Niles Douglas  
 Pawlak Romuald  
 Pawlak Romuald  
 Pierumow Nik  
 Pilipiuk Andrzej  
 Pilipiuk Andrzej  
 Piskorski Krzysztof  
 Pratchett Terry  
 Rabe Jean  
 Ringo John, Cochrane Julie  
 Sreewart Sean  
 Szmidt Robert J.  
 Thorpe Gav  
 Weber David, Flint Eric  
 White James

Xenos  
 Malleus  
 Czarna msza  
 Czarnoksiężnicy z Krainy Osobliwości  
 Świat bez czasu  
 Tyrania Nocy  
 Totalna awaria systemu  
 Łzy Nemezis  
 Na skrzydłach pieśni  
 Kryształowa gardziel  
 Demoniczne przymierze  
 Tarcza przeznaczenia  
 Nagi bóg. Wyprawa  
 Statek przeznaczenia  
 13 anioł  
 Ysabel  
 Wieża węży  
 Wojna Starożytnych t2. Dusza demona  
 Ruda sfera  
 Ostatni Patrol  
 Boża klepsydra  
 Ragnarok 1940 t1  
 Forgotten realms. Oko Helma  
 Armia ślepców  
 Bo to jest wojna, rzeź i rąbanka  
 Ziemia bez radości  
 Norweski dziennik t1. Ucieczka  
 Norweski dziennik t2. Obce ścieżki  
 Poczest dziwów miejskich  
 Złodziej czasu  
 Dragonlance: Zmierzch Chaosu  
 Wojna Cally  
 Krąg doskonały  
 Ostatni zjazd przed Litwą  
 Miecze Chaosu  
 1633  
 Ostateczna diagnoza



# NIUSY

## MULTIMEDIALNA GRA "WIEDŹMIN" - ŚWIATOWYM HITEM!

Rekordowa sprzedaż tej długo wyczekiwanej przez fanów gry (także wersji obcojęzycznych za granicą) może pozwolić na stwierdzenie, iż oto udało się stworzyć autentyczną polską markę – oby przewyższającą "Wyborową"!

Może przy okazji umożliwi to wprowadzenie siedmiu tomów Sapkowych opowiadań i powieści do światowego obiegu czytelniczego (gdyż tej roli spełnić nijak nie mogły - nieudane, niestety, kompletnie – komiks, film i serial)...

Czy ktoś z klubowych graczy pokusiłby się o uzupełnienie tej notki profana recenzją godną tego historycznego wydarzenia?

*jpp*



## NAJSTARSZE ŻYJĄCE ZWIERZE

Mięczaka-rekordzistę wyłowiono u wybrzeży Islandii. Sędziwy maść należy do gatunku Wenus. Ma 405, a może nawet 410 lat. Urodził się zatem mniej więcej wtedy, gdy Szekspir pisał "Hamleta". Poprzedni rekord, także należący do maścia, wynosił "zaledwie" 220 lat.

Walijscy naukowcy obliczyli wiek zwierzęcia dzięki dobrze zachowanym pierścieniom na zewnętrznej powierzchni muszli. Skorupy zwierząt morskich stanowią bowiem doskonały zapis historii ich życia.

ZUS by tego nie wytrzymał...

*jpp*

## MROCZNA KOLEKCJA DVD

Firma Mayfly serię Dark Collection rozpoczęła od filmu Ruperta Juliana „Upiór w Operze” z 1925 roku – niemiej adaptacji powieści Gastona Leroux, z legendarną już kreacją Lona Chaneya.

*jpp*



## ALE HALLOWEEN!

Ostatni wieczór października upłynął w telewizyjnym kanale *Ale Kino!* pod znakiem miniprzeglądu horrorów o zombiakach.

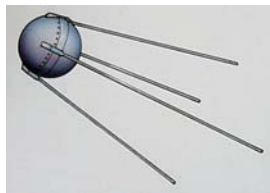
*jpp*

## POWSTANIE TRZECIA ADAPTACJA „DIUNY” HERBERTA?

Przymierza się do niej ponoć Peter Berg.

*jpp*

## PÓL WIEKU OBECNOŚCI W KOSMOSIE



Sputnik 1, pierwszy sztuczny satelita Ziemi, został wysłany przez ZSRR dnia 4 października 1957 roku.

*jpp*

## "FANTASTYKA" ZASŁUŻONA DLA KULTURY

Kazimierz Michał Ujazdowski, jeszcze urzędujący Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dał kolejny (po uhonowaniu mistrzów komiksu) wyraz swojej akceptacji dla zjawisk z obszaru kultury popularnej oraz życzliwości dla osób te zjawiska tworzących – przyznając medale (srebrne) Zasłużony Kulturze "Gloria Artis" twórcom i redaktorom miesięcznika "Fantastyka" ("Nowa Fantastyka").

Uroczystość wręczenia odznaczeń odbyła się 30 października, w siedzibie ministerstwa przy Krakowskim Przedmieściu.

*wg: AdaM*

## DŁUGI MARSZ KU SREBRNEMU GŁOWI

24 października Chińczycy wysłali swój pierwszy próbnik księżycowy, który – po wejściu na orbitę wokół naszego naturalnego satelity – przez rok transmitować będzie zdjęcia i dane naukowe.

W odleglejszych planach Państwa Środka jest wysłanie na Księżyc zdalne sterowanego pojazdu oraz sprowadzenie na Ziemię próbek księżycowego gruntu i skał.

*jpp*



## POWSTAJE NOWA KRÓTKOMETRAŻOWKA NICKA PARKA

Wallace i Gromit powrócą na szklany ekran w przyszłe święta Bożego Narodzenia!

*jpp*

## NOWY PROMETEUSZ ZNÓW NA EKRANIE?

Pracujący obecnie nad „Hellboyem 2” Guillermo del Toro zdradził, iż marzy mu się adaptacja „Frankensteina”. Co więcej – reżyser zachwycony jest, nigdy nie zrealizowanym, scenariuszem, który na podstawie klasycznej powieści Mary Shelley napisał specjalista od ekranowej grozy Frank Darabont.

*wg: [www.gildia.com](http://www.gildia.com)*

## KOLEJNY KOMPLET SAPKA DO KOLEKCJI

Ukazało się luksusowe wydanie trylogii husyckiej („Narrenturm”, „Boży bojownicy”, „Lux perpetua”) Andrzeja Sapkowskiego.

*jpp*



## DRUGA NIKE DLA MYŚLIWSKIEGO

Powieść „Traktat o łuskaniu fasoli” została tegoroczną laureatką prestiżowej nagrody Nike. Notabene Wiesław Myśliwski jest pierwszym pisarzem, który odebrał Nike po raz drugi.

*jpp*

## SZWAJCARSKA WYSTAWA W „MIEŚCIE KOMIKSIARZY”

W dniu 23 listopada, o godz. 18:00, w Wejherowskim Centrum Kultury otwarta zostanie wystawa „Szwajcaria – kraj komiksu”, prezentująca dawne i współ-czesne prace twórców z Konfederacji Helweckiej.

Plansze składające się na tę wystawę wypożycza Pracownia Komiksu przy WiMBP w Gdańsku.

WCK znajduje się naprzeciwko głównego dworca PKP w Wejherowie; ok. 5 minut prosto ulicą Dworcową.

*jpp*

## WAMPIRY NIEZMIENNIE FASCYNUJA



Pod koniec listopada, nakładem wydawnictwa Bellona ukaże się książka „Tajemnicze dzieje wampirów”. Jej autor, Claude Lecouteux, profesor na Sorbonie zajmujący się literaturą średniowieczną, napisał już wiele opracowań poświęconych wierzeniom ludowym oraz zjawiskom wampiryzmu. Jako podstawę analizy tych ostatnich wybrał teksty literackie z XIX i XX wieku oraz liczne dokumenty relacjonujące pojawianie się wampirów w różnych zakątkach Europy.

wg: [www.gildia.com](http://www.gildia.com)

## NORDCON 2007 TWOJĄ OSTATNIĄ SZANSĄ! PRZYJEDŹ, ZANIM CIĘ DOPADNIE CZTERECH MOTOCYKLISTÓW APOKALIPSY



[WWW.NORDCON.GKF.ART.PL](http://WWW.NORDCON.GKF.ART.PL)



# PEŁNOLETNI FESTIWAL I INNE ATRAKCJE

Jak co roku – na początku października odbył się w Łodzi kolejny Międzynarodowy Festiwal Komiksów. Tym razem spotkanie miłośników rysunkowych opowieści było jednak szczególne, gdyż Festiwal ukończył 18 lat. Z tego powodu jubileusz obchodzono tyleż hucznie, co długo; jeśli bowiem do „właściwego” spotkania (5-7 października 2007 r.) dodać imprezy towarzyszące – okaże się, że trwał on w dniach 2-11 października.

Wówczas to w studyjnym kinie „Charlie” zorganizowana był Przegląd Filmów Animowanych. W jego ramach widzowie mogli obejrzeć następujące obrazy: *Mój sąsiad Totoro* (2-4.X.), *Laputa – podniebny zamek* (9-11.X.), *Nausicaa z Doliny Wiatru* (5-7.X.), *Opowieści z Ziemiomorza* (9-11.X.), *Ruchomy zamek Hauru* (5-7.X.), *Spirited Away – w krainie bogów* (2-4.X.). Żeby nie było za słodko – pokaz stanowił osobną, biletowaną, imprezę. Toteż uczestnicy Festiwalu musieli nastawić się na dodatkowe koszty. Podobnie zresztą było w przypadku przedpremierowego pokazu filmu *Persepolis*, zrealizowanego na podstawie komiksu Marjane’y Satrapi. Nie była to pierwsza impreza towarzysząca w dziejach Festiwalu, która trwała dłużej od samego spotkania; przypomnijmy, iż w ubiegłym roku odbył się pokaz filmów fantastycznonaukowych. W tym roku jednak, z racji uzyskania pełnoletniości, organizatorzy zdecydowali się – prócz tradycyjnych wyborów rysunkowej Miss Festiwalu – również na zaproszenie zespołów muzycznych C.K.O.D. i NOT.

Z festiwalowych nowości należy odnotować pojawienie się nowego bloku tematycznych poświęconych mandze i anime oraz – szerzej – kulturze Japonii, prowadzonego przez Marcina Grzybowskiiego. W jego ramach można było m.in. obejrzeć teledyski AMV, wysłuchać prelekcji na temat imageboardów, bądź wziąć udział w prelekcji poświęconej piractwu mangi i anime w Polsce. Zwieńczeniem bloku stał się Grupowy Konkurs Budowania Mechów. Była też większa ilość bardziej różnorodnych konkursów dla dzieci (prócz rysowania



ulubionej postaci komiksowej i kolorowania mangi, najmłodszy miłośnicy rysunkowych opowieści mogli obejrzeć blok animowanych filmów-niespodzianek), zaś Społeczne Stowarzyszenie „Okna” (zajmuje się ono dziećmi ulicy z rodzin dysfunkcyjnych) zorganizowało konkurs zatytułowany „Prawa dziecka na komiksowo”, którego finał otworzył łódzki festiwal. Po raz pierwszy też festiwal wyszedł na ulicę i – dzięki staraniom organizatorów – Urząd Miasta współfinansował ozdobienie głównej arterii kulturalnej Łodzi, ulicy Piotrkowskiej, wiszącymi Tytusami, przypominającymi o półwieczu ucłowieczania tego bohatera przez dwu hancerzy, Papcia Chmiela i Profesora T’Alenta. Nie były to może dzieła sztuki użytkowej, zwłaszcza że – wisząc swobodnie nad głowami przechodniów – sprawiały wrażenie, jakby miały ulec sile grawitacji; tym niemniej fakt, iż w organizowanie imprezy włączyli się władarze miasta, dobrze rokuje Festiwalowi na przyszłość. Nowością, wymuszoną przez napięty program, było również przeniesienie giełdy komiksowej z gmachu Domu Kultury, gdzie odbywały się wszystkie imprezy, do pobliskiego wieżowca „Teximlexu”. W efekcie można było już o wczesnych godzin w sobotę zobaczyć grupki osób przemykających się, ku utrapieniu znanych z braku kultury ;) i wiecznego pośpiechu łódzkich kierowców, przez jezdnię „tam i z powrotem”, z naręczami ulotek, komiksów, plakatów itp.

Sama giełda to osobny rozdział w historii Festiwalu, warto jednak poświęcić jej uwagę z dwu powodów: po pierwsze jest ona jedna z niewielu okazji do zdobycia starych komiksów, niedostępnych nigdzie indziej lub wydawanych najczęściej własnym sumptem publikacji *undergroundowych* (tak zdobyłem pierwszy numer pisma „Netkolektywu”, internetowego grupy twórców komiksów z jednym z niewielu polskich komiksów cyberpunkowych – *OverKillem 2021* Konrada „Koko” Okońskiego), po drugie zaś miał na niej w tym roku łódzki debiut album Pipidżeja *Wampiurs Wars*. Z egzemplarzy przywiezionych na giełdę niżej podpisanemu udało się „rzutem na taśmę” (choć to metafora może nieodpowiednia, biorąc pod uwagę niechęć Pipidżeja i piszącego te słowa do sportu) pochwytać ostatnią sztukę. Kto przyszedł we wczesne niedzielne popołudnie w tym samym celu, odszedł z niczym.



Sam program Festiwalu – zbyt napięty, by fizycznie można było uczestniczyć we wszystkich atrakcjach – obfitował głównie w spotkania z twórcami i wydawcami z Polski, Rosji, Czech, Szwecji i Francji (organizatorzy na poważnie potraktowali przymiotnik „międzynarodowy” w nazwie festiwalu). Nie zabrakło jednak również paneli dyskusyjnych, poświęconych m.in. historii i specyfice gier RPG, środowisku miłośników komiksu i fantastyki, historii gier planszowych. Zaprezentowano też zarys programu „Polconu”, który w 2009 roku odbędzie się w Łodzi. Wręczono również po raz kolejny nagrodę „*Doctora Humoris Causa*”. W ubiegłym roku laureatem był Maciej Parowski, w tym – Adam Rusek (historyk komiksu, autor *Leksykonu polskich bohaterów i serii komiksowych*). Niejakimi „gwoździami programu” były spotkania z Grzegorzem Rosińskim i obchodzącym półwiecze istnienia serii „*Tytus, Romek i A'Tomek*” Henrykiem Jerzym Chmielewskim.

Do tradycji Festiwalu należy również Sympozjum Komiksologiczne, które w tym roku obyło się po raz siódmy. Tegoroczne, z uwagi na jubileusz Papića Chmiela, poświęcone było głównie różnym aspektom rynkowego istnienia cyklu opowieści o Tytusie. Analizowano źródła jego popularności, eschatologię, recepcję krytyczną itd. Nie zabrakło jednak referatów bardziej teoretyzujących wystąpień, poświęconych komiksowi psychologicznemu, parakomiksowi, wreszcie dowcipowi językowemu w komiksie Tadeusza Baranowskiego. Pośród prelegentów nie zabrakło znanego z publikacji w prasie fantastycznej Michała Cetnarowicza. Nieoczekiwanie zjawił się też ubiegłoroczny Gość Honorowy, Maciej Parowski, biorący czynny udział tyleż w dyskusji, co obfotografowywaniu uczestników spotkania.

Festiwal Komiksu jako impreza kulturalna na trwale wpisał się już w krajobraz Łodzi. Nie ma przeto obawy, iż następne jego edycje mogłyby być czymś zagrożone. Jednakże tegoroczne spotkanie podniosło poprzeczkę oczekiwań na tyle wysoko, że trudno będzie jej dorównać w kolejnych latach. Jednak to dobrze... Dobrze też, że władze miasta poczuły się do współuczestnictwa w – było nie było – międzynarodowej imprezie kulturalnej, o rozmachu unikatowym w skali kraju. W państwie wydającym więcej na politykę niż kulturę – taka odmiana dobrze rokuje na przyszłość.

AdaM

Więcej na temat festiwalowych atrakcji na stronie:

<http://dehala.republika.pl/komiks/images/program%20MFK%202007.pdf>

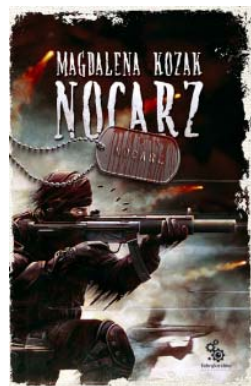
oraz:

<http://komiks.polter.pl/Miedzynarodowy-Festiwal-Komiksu-w-Lodzi-2007-g2105>

(tu galeria zdjęć)

# RENEGACI W AKCJI

Witamy w męskim świecie – zapowiada okładka „Nocarza” Magdaleny Kozak – gdzie wampiry w ABW, w służbie Rzeczypospolitej, walczą z wampiryzmi renegatami, a wokół rozbryguje się krew i świszczą kule. Wampir „dobry” to taki, który żywi się syntetyczną krwią, a ten, który woli prawdziwą – wręcz przeciwnie. Pierwszy, jako zwolennik pokojowej współzyczeń, potrzebuje czegoś w rodzaju „Gromu”, by powstrzymać drugich, przekonanych o swej wyższości „nadludzi”. Gdy Jerzy Arlecki, niespełniony lekarz, zostaje zwerbowany do tajnej służby, nie przypuszcza jeszcze, że sam trafi do takiej jednostki, by móc się wykazać w imię sprawy i wyrwać z nudy własnego, szarego życia.



Idea zaiste ciekawa i zawierająca w sobie spory potencjał. Realizacja popada jednak niestety w typowy schemat sensacyjnej opowieści akcji. Choć wampirzy ród Renegatów ma cały świat, by zaspokajać swą żądzę krwi, woli uwziąć się akurat na nasz „Grom”, by jak najwięcej „syntetycznych” przeciągnąć na własną stronę. Wrogowie mają bowiem to do siebie, że w głowie im tylko atakowanie. Ich szefowa, jak łatwo przewidzieć, „dyszy żądzą zemsty” – bo taka już uroda czarnego bohatera, że musi dyszeć. Musimy się więc bronić w huku wybuchów i strzelaniny, a potem znowu świszczą kule, i jeszcze parę razy aż do znudzenia, a po drodze jeden porucznik toczy ambicjonalne spory z drugim, a główny bohater chce się wykazać, ale nie do końca mu ufają, więc stara się jeszcze bardziej, itd., itd.

Problem polega na tym, że podobne historie oglądałem już zylion razy w podrzędnych hollywoodzkich produkcjach; jedyne, czy mnie powieść zaskoczyła, to główny zamysł fabularny. Największy zarzut, jaki mam do „Nocarza”, to jego epizodyczność: akcja rozwija się głównie poprzez kolejne strzelaniny, z których każda następną bardziej nudzi. Oparcie większości fabuły na naporzankach ma, owszem, sens, ale tylko wtedy, gdy ma się dobry warsztat. Niedoświadczenie pod tym względem skazuje tego rodzaju tekst na rolę opowieści niekoniecznej.

„Nocarz” to powieść o ciekawym pomysle i niewykorzystanym potencjale. Mam wrażenie, że zabrakło mu przede wszystkim dobrych nożyczek redaktorskich: skoro nie było pomysłu na bardziej oryginalną historię, można by przynajmniej powycinać wszystkie rozwlekłe dialogi i pozostawić to, o co chodzi w powieści sensacyjnej, czyli akcję. Książka byłaby wówczas o co najmniej jedną trzecią krótsza i o połowę lepsza. Niestety, bez takiej ingerencji „Nocarz” pozostawia obojętnym; nie wzbudza specjalnych emocji, choć twardziele z dużymi spluwami naporzają się w nim z innymi twardzielami w każdym rozdziale. Ot, historia do przeczytania, jeśli ktoś ma akurat za dużo czasu.

*Michał Szklarski*

Magdalena Kozak, *Nocarz*, wyd. Fabryka Słów, Lublin 2006. Cena okładkowa: 27,99 zł.



ZANIM DRUGI TOM  
PRZECZYTAĆ PO POLSKU

# ERIKSON ZACZYNA ZJADAĆ WŁASNY OGON

“Wicher śmierci” rozczarowuje. Jeśli nie liczyć pierwszego tomu tej chyba największej sagi fantasy, “Ogrody Księżycy”, to bez wątplenia najślabsza powieść Eriksona. Wydaje mi się, że trochę zaczyna go dobijać monumentalna wielkość całego cyklu i boję się, że zaczyna zjadać własny ogon.

Imperium Letheru pogrąża się w coraz większym chaosie. Imperator Rhulad Sengar, opętany przez Przykutego Boga, marzy o śmierci i w tym celu szuka godnego siebie przeciwnika na wszystkich znanych kontynentach. W międzyczasie Tiste Edur stopniowo są coraz bardziej asymilowani przez społeczeństwo imperium, a jednocześnie w coraz większym stopniu polegają na ludziach sprawujących codzienną władzę. I siejących terror wśród swoich. Równolegle do brzegów kontynentu przybija flota statków, niosąca na swych pokładach żądnych zemsty łowców Kości. A w tle oczywiście toczą się odwieczne pojedynki i próby sił między najpotężniejszymi bogami i śmiertelnymi całego uniwersum, których liczby wymienić nie sposób.

Jeśli ktoś miał obawy, że Eriksonowi zabraknie wyobraźni, by dalej rozwijać wykreowany świat, spieszę donieść, że były całkowicie chybione. Czytając powieść miałem wrażenie, że żeby nie wiem ile nowych ras i cywilizacji autor stworzył, zawsze będzie w stanie dorzucić coś nowego, i to w sposób, który zaciekawi czytelnika. W tym wypadku to kolejne plemię zamieszkujące tereny na wschód od Letheru, z całą swoją historią i wierzeniami. Nie będę ukrywał, że to jeden z elementów, które przyciągają mnie do pisarstwa Eriksona.

“Wicher śmierci” to powrót na teren znanego z “Przypływów nocy” (bodaj najlepszego tomu całości) Letheru i już to, samo w sobie, nakręciło moje oczekiwania. Liczyłem na coś równie dobrego, pokazującego, że Erikson po raz kolejny udoskonalił swoje pisarstwo. Być może trudno przełamać za każdym razem schemat pisarstwa i zaprezentować coś nowego, a “Przypływy nocy” były dowodem na to, że Erikson jak chce to potrafi, ale jednak miałem spore nadzieje. Niestety, tym razem doskonale sprawdziłoby się stwierdzenie, że oto ilość pokonała jakość. “Wicher śmierci” to chyba absolutny rekordzista pod względem długości ze wszystkich dotychczasowych tomów cyklu i niestety chwały autorowi to nie przynosi. Książka jest przegadana, a całe elementy powieści, jak np. walki łowców Kości w głębi kontynentu, trwają zbyt długo i ratuje je jedynie sposób pisarstwa Eriksona, czyli częste przeskakiwanie między wątkami. Za zupełne nieporozumienie uznaję za to całość historii Czerwonej Maski, która, mam wrażenie, została wprowadzona tylko po to, by wreszcie rozwiązać kwestię Anastera Toca (choć przyznam, że zwieńczenie tego wątku jest dobre). Pytanie tylko, czy naprawdę aż tak spora część książki musiała zostać na to przeznaczona? Dopuszczam jednak również myśl, że autor ma coś w zanadrzu i to, co dzisiaj wydaje się zamkniętym wątkiem, wybuchnie nam w twarz dwie części dalej. Ano właśnie. O ile “Łowcy Kości” wydawali się być przełomem, od którego nareszcie zacznie się zwijanie całej monumentalnej opowieści, tom siódmy jak na złość ponownie wydaje się więcej wątków rozpocząć niż kończyć.



Najbardziej jednak, zabolalo mnie powtórzenie przez Eriksona wykorzystywanych już tylokrotnie chwytów emocjonalnych, a pewna scena z końca książki była tak naprawdę ledwie zmodyfikowaną wersją zakończenia **"Wspomnienia lodu"**. I chyba nie jest w stanie tego zrównoważyć historia Tehola i Bugga, a nawet zaskakujące zachowanie Scabandriego czy już absolutnie niespodziewane rozwiązanie kwestii Karsy i Ikariuma (Karsa w ogóle ponownie zaskakuje i zdecydowanie staje się moją ulubioną postacią cyklu), plus kilku losów pomniejszych postaci.

Co prawda napisałem na samym wstępie, że **"Wicher śmierci"** rozczarowuje, ale traktuję go jako potknięcie i wciąż liczę na powrót do wielkiej formy w kolejnej części. Poza tym Erikson ma jedną niezaprzeczalną zaletę – dla każdego miłośnika cegieł to w tej chwili bodaj jedyny gwarant dostarczenia rok w rok solidnej porcji rozrywki. Bo mimo wszystko **"Wicher śmierci"** czyta się każdemu fanowi *Opowieści z Malazańskiej Księgi Poległych* dobrze.

Maciej Majewski  
www.maciejmajewski.pl

Tytuł od redakcji

ZANIM PRZECZYTACIE PO POLSKU

## CZEKAJĄC NA TRZECIĄ...

Kiedy rok temu ukazywały się **"Kłamstwa Locke'a Lamory"**, Lynch solidnie namieszał na rynku wydawniczym, z miejsca podbijając czytelników. Stąd oczekiwania co do kontynuacji przygód dwójki uroczych Niecnych Dżentelmenów były naprawdę spore. Dzisiaj mogę już sobie odpowiedzieć na pytanie, na ile druga odsłona ich historii dorównuje **"Kłamstwom..."**.

Locke i Jean opuścili Camorr szukając szczęścia gdzie indziej. Tak trafili do Tel Verrar, kolejnego miasta-państwa, gdzie szykują się do swojego największego dotychczas skoku, który być może zapewni im wystarczającą ilość środków, by kupić sobie pomniejszy tytuł szlachecki i w spokoju osiąść gdzieś na stałe, ciesząc się życiem bez napięć. Ale czy może im się to w ogóle udać? Ciągłe ścigani przez magów z Karthainu, pakują się w kolejną awanturę, a dodatkowo dostają się między młot a kowadło. Młotem jest, marzący o władzy absolutnej, wojskowy lider Tel Verrar, niejaki Maximilian Stragos, a kowadłem, właściciel największego, najbezpieczniejszego i najbogatszego kasyna w całym mieście, Requin, który okazuje się być także głową wszystkich grup przestępczych Tel Verrar. I to jego skarbiec, kryjący legendarny majątek, planują po dwóch latach przygotowań obrabować Locke z Jeanem. Oczywiście sytuacja mocno się komplikuje, ich plany muszą poczekać, bo obaj Niecni Dżentelmeni, chcąc niechcąc, muszą zostać piratami i agentami Stragos...

Powrócę do pytania z początku. Czy **"RSURS"** dorównuje **"Kłamstwom Locke'a Lamory"**? Otóż najkrócej pisząc, nie dorównuje. Czy w takim razie rozczarowuje? Też nie. Pierwsza część przygód obu bohaterów nie była arcydziełem literatury, zwłaszcza tej pisanej przez "L", ale była doskonałym przykładem dobrze skrojonej literatury rozrywkowej, napisanej wyśmienitym językiem, z ciekawą, dynamiczną akcją, pełną zaskakujących zwrotów akcji i dwójką bohaterów, których nie sposób było nie polubić.

Co z tego pozostało w drugiej części? Bez wątpienia język i humor Lyncha - pod tym względem zmian na gorsze nie zanotowałem, a kilka "grypsów" z pewnością przejmę na własny użytek. Nasi główni protagoniści, a w szczególności Jean, mocno



zyskują, bo Lynch zdecydowanie pogłębia ich przyjaźń, choć stawia ich momentami przez ciężkimi wyborami. Niestety, mniej więcej w jednej czwartej powieści, kiedy okazuje się, że plany Locke'a mocno się komplikują, akcja "siada", a wprowadzenie wątku pirackiego, może poza okazją do opisania kilku wariactw na pokładzie okrętu, nie wnosi ani niczego odświeżającego, ani nie wpisuje się dobrze w główny wątek. No dobra, jeśli nie liczyć okazji do wystawienia Jeana i Locke'a na próbę ich przyjaźni. Problem w tym, że te trzysta stron na morzu wydaje się być zbyt oderwane od całości, momentami może niepotrzebnie rozwleczone, bo oto na dodatek pod koniec, Locke na czterdziestu, może pięćdziesięciu stronach domyka plan skoku i odegrania się na Stragosie, z czym miał ewidentne problemy przez większą część powieści. Drugim solidnym rozczarowaniem, przynajmniej dla mnie, jest brak takiej dynamiki zwrotów akcji, do jakiej Lynch przyzwyczyił nas w "Kłamstwach...", a przecież tam dodatkowo łamane to było przez ciągłe retrospekcje, od których tutaj autor szybko odchodzi. Jeśli nie liczyć końcowego efektu skoku na kasyno (nawiasem mówiąc rozkładającego na łopatki), to większych zaskoczeń nie zanotowałem. Lynch wprowadza kilka nowych, ciekawych postaci, a przede wszystkim nie boi się pozbyć bohaterów, którzy mogliby odgrywać istotną rolę w dalszych przygodach Locke'a i Jeana. Bez wątpienia taka polityka nie do końca mi odpowiada, ale muszę przyznać, że przez takie podejście powieści Lyncha zyskują. No a poza tym, piraci zawsze mnie kręcili, zwłaszcza kiedy są taką szaloną bandą jak w "RSURS".

Zatem nawet jeśli w mojej opinii to słabsza powieść niż "Kłamstwa Locke'a Lamory", to i tak pozostaję fanem Scotta Lyncha i wykreowanych przez niego bohaterów i z niecierpliwością będę wyczekiwał kolejnej odsłony ich dalszych przygód. Mam nadzieję, że "Republika złodziei" ponownie mnie zaskoczy.

Maciej Majewski

[www.maciejmajewski.pl](http://www.maciejmajewski.pl)

Tytuł od redakcji

## CIENIE ŻYCIA HOMO SUPERIOR

Janusz Andrzej Zajdel, *Próba*,  
w:] tenże, *Feniks*, Warszawa 1981



Po cóż cyborgizować człowieka? Najprostszą, a zarazem mającą najbardziej merkantylny charakter odpowiedzią, wydaje się wykorzystanie tak przekształconej jednostki do zadań, którym nie podołałby żaden zwykły człowiek. Przekształcenie ludzkiego organizmu w tym przypadku ma na celu przystosowanie człowieka do życia w ekstremalnych warunkach na innych planetach lub w próżni kosmicznej bez konieczności używania aparatury ochronnej. A co z wolną wolą jednostki? To pytanie pozostaje najczęściej bez odpowiedzi. A przynajmniej odpowiedź na nie pada jedynie pośrednio, o czym przekonuje lektura opowiadania Janusza Andrzeja Zajdla *Próba*.

Bohater utworu, będący zarazem jego narratorem – młody entuzjasta kosmicznych badań – oczekuje z niecierpliwością potwierdzenia zgłoszenia do Ośrodka Szkolenia Pilotów Kosmicznych. Jest to dłoń nobiletująca, ponieważ konkurencja jest

ogromna, a selekcja nader surowa. Kiedy wreszcie zjawia się w laboratorium, zostaje uśpiony, by po trzech dniach, po przebudzeniu, zostać zdyskwalifikowanym. W drodze powrotnej zauważa, że jego zegarek – pomimo iż go nie nakręcał – nadal odmierza czas. Postanawia więc zbadać przyczyny tego. Wówczas w wnętrza koperty wysunął się dysk z danymi, na których, jak się okazało, zarejestrowana została relacja z wydarzeń, w których uczestniczył. Według zapisu, został obudzony po kilku minutach od zaśnięcia, a następnie był poddany medycznym testom. W oczekiwaniu na ich wyniki, przewodnik – Mett – pokazał mu grupę mężczyzn, którzy trenowali przy obniżonym ciśnieniu próbę zabezpieczania uszkodzonego poszycia rakiety. W innej sali przyszli konkwistadorzy gwiazdnych zmagali się z sięgającą kilkuset stopni temperaturą.

Nie mogąc zrozumieć sensu zdarzeń, których był świadkiem, narrator próbuje interpretować obserwowane zachowania jako wynik treningu. Zaprzecza temu jego przewodnik, roztaczając wizję nowego człowieka, zdolnego do pokonania ewentualnych trudności na drodze do podboju Kosmosu: *Ludzie, których widziałeś przed chwilą to silikantropi, krzemoludzie. (...) Udało się nam stworzyć krzemooorganiczne analogi związków węgla wchodzących w skład organizmu ludzkiego. (...) Stosując cały szereg bodźców, dostarczając odpowiednie substancje proste, zmuszamy organizm do wytwarzania substancji krzemooorganicznej, z której następnie stopniowo odtwarza się poszczególne tkanki. Białko krzemowe ścina się w temperaturze o wiele wyższej niż węglowe, jest odporniejsze na działanie toksycznych trucizn, nie działają na nie zwykłe bakterie węglorganiczne... Wiele organów silikantropa zostaje zredukowanych, jak na przykład przewód pokarmowy, gdyż organizm odżywia się prawie wyłącznie łatwo przyswajalnymi krzemowodami i krzemotłuszczami (s. 39).*

Początkowy entuzjazm narratora ustępuje miejsca przerażeniu, gdy uświadamia on sobie, że silikantropi pozbawieni zostali własnej osobowości na skutek kasacji ich pamięci o przeszłości. Dla bohatera opowiadania staje się to nie do przyjęcia i w konsekwencji rezygnuje on z dalszego udziału w eksperymencie. Aby jednak zachować w pamięci swój pobyt w centrum badawczym, kradnie kryształ umożliwiający zapisywanie danych, na którym rejestruje relację ze swojego pobytu w laboratorium i chowa go do koperty zegarka. Kiedy – nie pamiętając niczego w związku z pobylem w instytucie – odkrywa i odsłuchuje kryształ, może spojrzeć w innym świetle na informację o wybuchu w ośrodku, w którym zginął jeden człowiek, pracownik naukowy Instytutu. A co z innymi, chciałoby się zapytać? Czy nie byli oni ludźmi? A czy byli? Lemowski Johns z groteski *Czy pan istnieje mr. Johns?*, walcząc o prawo do pozostania człowiekiem, ma świadomość własnego statusu ontologicznego. Zajdlowscy silikantropi zostali owej samoświadomości pozbawieni w dążeniu do osiągnięcia doskonałości. W obu przypadkach to, co miało stać się szansą na rozwój — udoskonalenie ludzkiego ciała dzięki możliwościom techniki – stało się przyczyną klęski człowieka i cyborga w którego został on zmieniony.

Adam Mazurkiewicz



# NAJNOWSZY WAJDA



Nie wałęsam się ani chwili, czy iść na ten film. Po prostu chciałem i – na zasadzie „jak powiedział, tak zrobił” – poszedłem. Wystarczyło jeszcze tylko zgrać termin z Pipidżem i... już siedzieliśmy razem w sali Kinoplexu; nie ukrywam, że z lekkim napięciem oczekując na najnowszego Wajdę. Bo w tym wypadku naprawdę trzeba się zebrać w sobie i iść dopiero wtedy, kiedy już się jest nań duchowo nastawionym.

Mówię oczywiście o „Katyniu”. Może i nie powinienem z tego miejsca poruszać tak poważnego tematu, uważam jednak, że film wart jest, by o nim choćby parę słów powiedzieć. I to nie tylko ze względu na samą wagę tematu, wypełniającą rażącą lukę w polskiej kinie i w polskiej historii, również dlatego, że to po prostu znakomicie zrobiony film. Widać, że po latach Wajda znów trafił na „swój” temat i, po okresie mniej udanych utworów o tematyce wojennej czy przenoszeniu z różnym skutkiem na ekran lektur szkolnych, znowu mówi o sprawach dla niego najważniejszych. I kto jak kto, ale to właśnie on był najbardziej predestynowany do tego, by jako pierwszy zabrać głos w tej materii. Zagłada lwiej części inteligencji polskiej w Katyniu (i w ogóle na wschodzie) w kwietniu 1940 roku, wśród której był przecież ojciec reżysera, dawało mu to prawo niejako z definicji, przez co ten film stał się osobistą i konieczną dla niego wypowiedzią.

Co do wartości samego filmu, to ci, którzy interesują się kinem trochę bliżej, wiedzą, że kiedy już Wajda trafi w temat, to spod jego ręki wychodzą utwory wybitne, a „Katyn”, jeśli nie jest aż wybitny, to już na pewno bardzo, bardzo dobry. I choć wiadomo, że nie zobaczymy tu potężnej dawki napięcia czy szybkich zwrotów akcji, widz ma przed sobą kawałek naprawdę znakomitego kina: zero dłużyzn, żadnej czczej gadaniny, drętwego podręcznika historii czy natrętnego moralizowania, żadnych wymuszanych na siłę łez; ma przed sobą samą istotę – okrutnego w swej wymowie – problemu, szybki, dynamiczny montaż łączący poszczególne sceny i epizody, świetnych aktorów (m.in. Stenka, Żmijewski, Cielecka, Chyra, Englert, Ostaszewska) w wyrazistych rolach zarówno głównych, jak i drugoplanowych. I nawet Małaczyński nie zdążył niczego zepsuć, bo ma zaledwie kilka kwestii do wypowiedzenia, zanim go rozstrzelają. No i w końcu – finał. To nie będzie niedyskrecja, jeśli zdradzę, jak kończy się ten film, bo myślę, że każdy już wie, a przynajmniej się domyśla. Na tę końcową sekwencję trzeba mieć mocne nerwy: każdy z nas ma wprawdzie jakąś, choćby mglistą, wizję tamtych wydarzeń, podyktowaną wyobraźnią bądź historyczną wiedzą, lecz zetknięcie się oko w oko z dokładnym odtworzeniem ostatnich chwil życia polskich oficerów jest tak sugestywne, że porażające. Wszystko odbywa się tu planowo, szybko i przerażająco sprawnie. I to do tego stopnia, że ani widz, ani tym bardziej uczestnicy tych strasznych wydarzeń nie mają, na szczęście, czasu na refleksje i... już jest po wszystkim. Nieopisane barbarzyństwo. A kiedy film się kończy, białe napisy przesuwają się powoli na czarnym tle w zupełnej ciszy. Tak właśnie, w absolutnej ciszy, publiczność opuszcza salę kinową, co jeszcze dodatkowo potęguje wrażenie. Ta cisza.







jeden cel! Jak to świetnie określił w wywiadzie Żmijewski (którego akcje u mnie po tym filmie znacznie podskoczyły), że dopiero pracując nad tym filmem, kiedy ujrzał obok siebie na planie morze głów otaczających go postaci, i że to wszystko stanowiło kwiat polskiej inteligencji – dotarło do niego, że w '40 roku na wschodzie Polsce odcięto głowę, serce i sumienie...

Najnowszy Wajda jest filmem głęboko ludzkim, by nie powiedzieć: humanistycznym. Piękna i mądra, choć wstrząsająca wizja walki o prawdę w obliczu kłamstwa. To jeden z tych obrazów, które nie tak łatwo pozwalają o sobie zapomnieć, i które powinno się zobaczyć, by wiedzieć i zrozumieć określone procesy historyczne, często-gęsto dotyczące również i naszych rodzinnych losów.

*Habas*

## Jacek Kaczmarski

### KATYŃ

*(fragment)*

Ciśnie się do światła niby warstwy skóry  
 Tłok patrzących twarzy spod ruszonej darni.  
 Spoglądają jedna zza drugiej - do góry -  
 Ale nie ma ruin. To nie gród wymarły.  
 Raz odkryte - krzyczą zatechłymi usty,  
 Lecą sobie przez ręce wypróchniałe w środku  
 W rów, co nigdy więcej nie będzie już pusty -  
 Ale nie ma krzyży. To nie groby przodków.  
 Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy,  
 Po miskach czerepów - robaków gonitwy,  
 Zgniłe zdjęcia, pamiątki, mapy miast i wsi -  
 Ale nie ma broni. To nie pole bitwy.  
 Może wszyscy byli na to samo chorzy?  
 Te same nad karkiem okrągłe urazy  
 Przez które do ziemi dar odpłynął boży -  
 Ale nie ma znaków, że to grób zarazy.

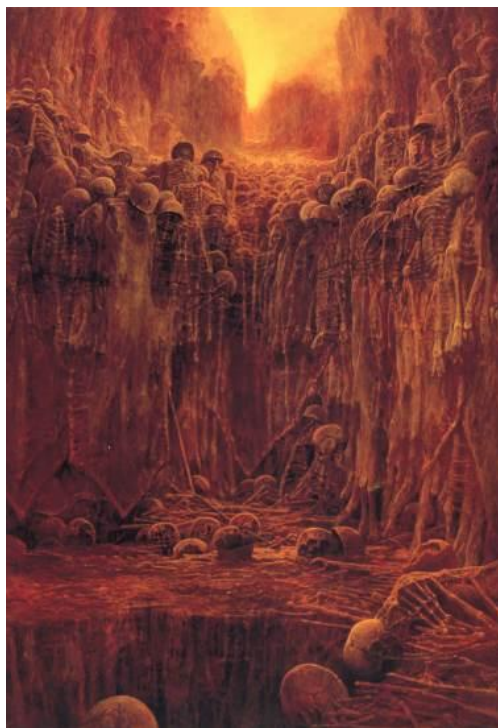
[...]

Oto świat bez śmierci. Świat śmierci bez mordu,  
 Świat mordu bez rozkazu, rozkazu bez głosu.  
 Świat głosu bez ciała i ciała bez Boga,  
 Świat Boga bez imienia, imienia - bez losu.

[...]

29.VIII.1985 r.

[/www.kaczmarski.art.pl/](http://www.kaczmarski.art.pl/)



# WYJĄTKOWO ŻYWE TRUPY



No i dotarł do nas właśnie drugi kikut *Grindhouse'a*. Jak każdy normalny człowiek nie żyjący jak zwierzę powinienem mieć go od paru dni na DVD, ale jednak najpierw postanowiłem zobaczyć *Planet Terror* w kinie. Na wstępie z radością informuję niedowiarków, że film jest standardowo wyposażony nawet w jeden z fejkowych trailerów, a konkretnie ten najbardziej znany – *Machete*. Sam trailer, jak od dawna wiadomo, jest mocno kultowy i chyba musiał on po prostu być doklejony do *PT*, żeby nie było gadane, iż Rodriguez nakręcił jakiś film bez Danny'ego Trejo.

Generalna uwaga na dzień dobry: Robertowi dobrze zrobiło nakręcenie bezpretensjonalnego filmu – bo co może być bardziej bezpretensjonalne niż film o zombich? Taki z toksycznym gazem, atakiem na miasto i obroną małej grupki w chacie? Kilka poprzednich wysoce indywidualistycznych dzieł Rodrigueza było przeznaczonych dla publiczności nie będącej mną (poza *Sin City* – mówię tu o kontynuacjach i mutacjach *Małych Agentów* oraz o strasznym *Once Upon a Time in Mexico*). Dobrze, że raz na parę lat nasz Roberto potrafi się poprawić.

Jak większość filmów o zombies, również *PT* opowiada o przygodach ekipy w obliczu tegoż zagrożenia. Nie powinno być niespodzianką, że u Rodrigueza ekipa ta jest jeszcze bardziej kultowa niż nawet ta z *Hatcheta*: mamy znaną wszystkim, wyeksploatowaną do bólu, jednonogą tancerkę i jej przyjaciela, enigmatycznie legendarnego El Wraya, drużynę szeryfa (w tym nie mniej enigmatyczną policjantkę w oberwanej stosownie koszuli) i watahę jego przypadkowych zastępców, kucharza barbecue, młodą panią doktor-fetyzystkę strzykawek i innych. Reżyser postanowił stworzyć trochę tarantinowską siatkę powiązań między bohaterami – jest więc i małżeńska zdrada w wykonaniu żony-lesbijki, jak również bardzo rodriguezowska historia romantyczna z udziałem tancerki Cherry Darling i El Wraya, a także rodzinno-biznesowe perypetie szeryfa i barbecue-mena.

Obsada filmu jest isticie klasyczna. Z wykopanych zgasłych gwiazd mamy rewelacyjnego jak zawsze Michaela Biehna i niszowego Josha Brolina, a z dyżurnego teamu – Trejo i Cheecha Marina (co prawda tylko w *Machete*), świętego za życia Toma Savini, Michaela Parksa, Bruce'a Willis'a, laseczki Rose McGowan i Marley Shelton no i oczywiście samego Tarantino. Uff – sporo tego. *Planet Terror* pozwala nam też trochę głębiej poeksplorować uniwersum tarantino-rodriguezowskie, a szczególnie osobę szeryfa McGrawa – poznajemy tu jego żonę, córkę i przytulny domek, a sam szeryf również ma parę słów do powiedzenia (choć może nie aż tyle co w *From Dusk Till Dawn*). Każdy z bohaterów kieruje się prostą i konsekwentną motywacją – od potrzeby prostego zrobienia porządku (szeryf) przez ucieczkę przed mężem (młoda lekarka), po wyjazd za lepszym życiem (Cherry). Losy wszystkich naszych postaci spotykają się w restauracji Bone Shack, gdzie tworzą oni przedostatni bastion.

Film oczywiście nawiązuje do klasyków gatunku – i to wcale niespecjalnie kryptycznych: mamy główne motywy z *Return of the Living Dead* czy choćby lokalizację Bone Shacka idealnie przypominającą domostwo z *Nocy żywych trupów*. Nie zapominajmy też o hardkorowym szpitalu, od którego rozpoczyna się epidemia zombizmu – tkwiącego twardo obiema nogami w stylistyce lat '70. No i co najważniejsze – z niewielkimi wyjątkami nie doznamy tu atmosfery zaszczucia czy bezradności bohaterów. Na ekranie króluje bowiem zombieddon w wykonaniu ekipy kultowych twardzieli, którzy najście zombich traktują po prostu jako kolejną przeszkodę do pokonania na swoich nietuzinkowych drogach życia. Od kameralnych strzelanin na drodze, przez bijatki na posterunku

i ostrzeliwujący się konwój różnych pojazdów, aż po totalną hekatombę z udziałem woja i helikoptera – no zombie is safe in this movie.

A same zombies Rodrigueza noszą wyraźne znamiona indywidualizmu twórcy – nie są to bowiem ożywione trupy, a normalnie żywi osobnicy, którym po prostu rozum odjęto i zostali pokryci różnorodnymi wrzodami. W toku akcji najwybitniejsi zombies ulegają rozwojowi osobistemu tworząc sobie dodatkowe wypustki i generalnie przypominając co ciekawsze wytworze włoskiej myśli zombiograficznej. Pomimo swej odmienności, zombies ci tradycyjnie zainteresowani są głównie konsumpcją nie zakażonej jeszcze ludności.

Rodriguez postanowił trochę pojechać w swoim znanym stylu gore, dryfując mocno w stronę japońskiej wersji *Kill Billa*. Praktycznie każdy strzał wywołuje u trafionego wielometrowe i wielolitrowe fontanny krwi i rozczłonkowanie, samochody wybuchają bez powodu i efektownie, a Tom Savini oznacza przecież nieodzowne sceny pożerania i rozrywania na sztuki ofiar przez zombies. Zwracam jednak uwagę, że dla wytrawnego widza to po prostu fajna ekstrawagancja, a nie jakieś epatowanie przemocą – co chyba głównie zarzucają filmowi zwykle media adresowane do zwykłych ludzi.

Jak to u Rodrigueza – mamy tu też znany już kult teksasu i teksańskiego jedzenia w postaci barbecue, jako że jedną z ważniejszych lokalizacji w filmie jest serwujący tego typu żywność Bone Shack. Z inny powtarzalnych motywów pojawia się chłopczyk-urwisek, miłośnik zwierząt i pilnujące go niestandardowe opiekunki. Jak w niemal każdym swoim filmie, również i w *Planet Terror* Rodriguez sam skomponował muzę – która na 23 kilometry zalatuje Carpenterem (w soundtrack są chyba nawet wplecione fragmenty OST *Escape From New York*). Natomiast sam główny motyw muzyczny (znany zresztą z trailerów) jest wykonany w kilku różnych świetnych aranżacjach – funkcjonując zarówno jako action theme, love theme czy smutno theme.

*Planet Terror*, podobnie jak *Death Proof*, z oczywistych powodów jest mocno osadzony w symulowanej konwencji Grindhouse. Tu też mamy specyficzną kolorystykę kliszy i syfy na stykach rolek, jak również hardkorowy feel lat '70 (aczkolwiek sama akcja filmu naturalnie dzieje się współcześnie). Choć styl ten nie jest tak ewidentny jak w pierwszej połowie filmu Quentina, tu przynajmniej jest utrzymany przez cały czas. Mamy parę osobliwych panoramowań i kadrów, nie wspominając o klasycznych zajawkach na wstępie („film tylko dla dorosłych”) i kolejnej zaginionej rolce – jak zwykle w najciekawszym momencie, którego jednak nie zobaczymy nawet w wersji europejskiej. Zabawnym wydaje się fakt, że cały tak usyfiony film powstał na kamerach cyfrowych - jak wszystkie ostatnie dzieła opętanego technologią Rodrigueza.

Co by jednak nie gadać o *Planet Terror*, pada ona niestety ofiarą tej samej słabości, co kilka innych filmów Rodrigueza – mimo wystudiowanej kultowości, znakomitych postaci i porywającej fabuły filmowi brakuje jakiejś iskry, witzu który uczyniłby go wybitnym. *PT* wypada po prostu jako kolejny znakomity zombie film, który dobry reżyser próbował ukultowić po swojemu – ale wypada bez żadnych rewelacji. Nie zrozumcie mnie źle – to świetny tytuł, co najważniejsze długo zostający w pamięci – jedynie zaraz po obejrzeniu nie ma się ochoty powiedzieć, jak po *Death Proofie*, „ja pierdykam, co za czad”. Tym niemniej godna swego partnera połówka *Grindhouse'a*.

Commander John J. Adams  
/www.ZakazanaPlaneta.pl /

**Tytuł:** Planet Terror  
**Produkcja:** USA, 2007

**Gatunek:** Zombie movie

**Dyrekcja:** Robert Rodriguez

**Za udział wzięli:** Michael Biehn, Tom Savini, Brand z *The Goonies*, Laska z Black Eyed Peas, Sayid, Quentin Tarantino, szeryf Earl McGraw, John McClane bez córki

[tytuł recenzji pochodzi od redakcji „Informatora”]

## Co fan pędzący na NORDCON ma zrobić, gdy jakiś "Mad Max" złapie go na radar...



Bardzo grzecznie zachowujemy się w stosunku do policjantów (zasada główna, warunek konieczny!).

Prosimy o legalizację radaru i tylko udajemy, że dokładnie czytamy, gdyż na 100% jest OK. Zgłaszamy małą uwagę: "Panie Poruczniku (grzecznie – niezależnie od stopnia – policjanci to lubią), ta legalizacja jest jak najbardziej w porządku, dziękuję bardzo, ale proszę jeszcze o pokazanie legalizacji na zasilanie przyrządu pomiarowego".

Dostrzegamy wielkie oczy "Pana Porucznika".

Mówimy dalej – "Widzi Pan – zgodnie z Ustawą o Miarach i Wagach art 63, legalizacji podlega cały przyrząd pomiarowy, łącznie z zasilaniem, jeżeli nie pochodzi ono z sieci 230 V. Proszę więc o pokazanie legalizacji na akumulator i instalację elektryczną pojazdu Panów Policjantów".

Oczywiście taki dokument nie istnieje.

Sprawa trafia więc do Sądu Grodzkiego, a my tym czasem ślemy do Głównego Urzędu Miar i Wag pismo-zapytanie, w którym prosimy o opinię, "czy zasilanie przyrządu pomiarowego (np: wagi) ma wpływ na wynik pomiaru".

Dostajemy odpowiedź "oczywiście, że tak!" oraz pouczenie, że: "jeżeli będziemy używali wagi elektronicznej (a więc urządzenia pomiarowego), które ma legalizację, natomiast bateria lub akumulator legalizacji nie posiada, to nie tylko wynik pomiaru jest dotknięty wadliwością, a więc niezgodny z prawem, ale sam użytkownik posługujący się nielegalizowanym urządzeniem pomiarowym popełnia wykroczenie i podlega karze".

Na naszej sprawie w Sądzie Grodzkim pokazujemy odpowiedź z GUMiW i prosimy Wysoki Sąd, by nie wymierzał kary grzywny "Panu Porucznikowi" za "posługiwanie się urządzeniem pomiarowym, które nie posiada legalizacji"...

*lz Internetul*

### Dane techniczne radaru Rapid 2-Ka

- zasilanie 12V DC (-10%, +20%)
- zasięg 150 m dla małych prędkości (ok. 60 km/h)
- 300 m dla dużych prędkości (pow. 100 km/h)
- zakres mierzonych prędkości 30 ÷ 220 km/h
- dokładność pomiaru ± 3 km/h (do 100 km/h)
- ± 3 % (pow. 100 km/h)
- czas gotowości do pracy max 10 s
- częstotliwość nadajnika 24,125 GHz
- moc nadajnika 5 mW
- pobór prądu max 160 mA (pogotowie)
- max 750 mA (praca z drukarką)
- zakres temperatury pracy -20° ÷ +50° C
- masa 1,2 kg
- zasięg wykrycia przez antyradar 2000 m

### GDĄSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2  
ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: [www.gkf.art.pl](http://www.gkf.art.pl)

REDAKCJA: Jan Płata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,  
Michał Szklarski

GRAFIKI: Zdzisław Beksiński (17), Kasia Piliszek (15), Piotr Terszel (4, 8, 11)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

*Nakład 300*

*WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

### INFORMATOR # 223

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów  
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji